

TADEUSZ KONWICKI



CZYTAŁO

Tadeusz Konwicky
CZYTAŁO

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-86-0

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, Warszawa 1992

Projekt okładki: Olga Bołdok

Słyszałem monotonne i uporczywe stukanie do drzwi. Mówię: stukanie, ale raczej był to natrętny dygot źle zamkniętych drzwi. Początkowo samoreżyserujący się sen próbował objaśnić te dźwięki jakąś sytuacją, której nie rozumiałem, a potem z wolna jęła się urealniać jawa. Zobaczyłem przed sobą ścianę, nie znaną mi, z rozplywającymi się cieniami, później dostrzegłem na rożku poduszki czarną plamkę jak zaschnięta kropla krwi i poczułem piekący, trochę pulsujący ból na czole. Gdzie ja jestem, pomyślałem. Skąd się znalazłem pod porysowaną mrokiem ścianą. Lecz łoskot szarpanych gwałtownie drzwi nie ustawał.

Wolno podniosłem się z łóżka i machinalnie poszedłem w tę stronę, gdzie powinny być drzwi. Po drodze przewróciłem krzesło, pewnie z moim własnym ubraniem. Przed sobą widziałem mrugający punkcik jaskrawego światła. To było chyba moje mieszkanie i mój wizjer w ciemnej płaszczyźnie drzwi.

– Zaraz. Chwileczkę. Już otwieram – chciałem powiedzieć, ale gardło odmówiło posłuszeństwa i tylko zachrypiałem, kaszląc boleśnie.

Przekręciłem zamek i drzwi same zaczęły się otwierać. Zobaczyłem młodego, łysiejącego człowieka w jasnym garniturze, a za nim dwóch policjantów.

– Można wejść? – spytał blondyn.

– Tak. Ale dlaczego?

– Zaraz panu powiem – i przestąpił próg, a za nim obaj policjanci.

– Co się stało? – zapytałem ponownie.

Jeden z policjantów został przy niezamkniętych drzwiach. Drugi towarzyszył blondynowi, który delikatnie popychał mnie w głąb mieszkania.

– Popelniono morderstwo – rzekł blondyn, a ja pomyślałem, że skądś dobrze znam takie teksty.

– Gdzie popelniono morderstwo? – i kątem oka poznawałem swój przedpokój z wielkim wieszakiem, na którym trwały nieruchomo nasze zimowe płaszcze.

– U pana. W pańskim mieszkaniu.

Pomyślałem raptownie, że dobrze byłoby się roześmiać i spróbowałem to zrobić. Ale on nie zwrócił na to uwagi, popchnął mnie znowu w głąb pokoju.

– Może pan się trochę ubierze – powiedział, a każdą swoją kwestię zaczynał od jakiegoś myknięcia, jakby był absolwentem Oxfordu.

Spojrzałem w dół i zdrętwiałem. Miałem na sobie tylko kurtkę od pidżamy. Zaczęłem szukać zgubionej części ubioru, obmacałem bezskutecznie całe łóżko, wreszcie spostrzegłem swoje spodnie poniewierające się na podłodze.

Blondyn zaczął dyskretnie, aż uporam się z garderobą i wtedy dopiero podszedł do okna i energicznie rozsunął zasłony.

Zobaczyłem nasz pokój w pierwszym brzasku dnia. Półkę z książkami, telewizor z mętnym światłem w szklanym ekranie, przewrócone krzesło, moje drzewko szczęścia, które rozrastało się w wielką ilość grubych pni zwieńczonych chuderławą koroną.

– Nazywam się Korsak – powiedział blondyn. I dodał coś w tym rodzaju: – podkomisarz Korsak.

Nie byliśmy jeszcze przyzwyczajeni do nowego nazewnictwa policyjnego, my, klienci dawnej komunistycznej milicji.

– Wie pan, boli mnie głowa. Nie mogę zebrać myśli.

– Nic dziwnego. Ma pan guza na czole.

– Ja mam guza? – i podszedłem do naszego starego lustra pełnego szlachetnych liszajów. Pomacałem czarny gruzeł zakrzepłej krwi nad prawą brwią.

Młody, chudy policjant z białą pałąką przy boku jak z urwanym sznurem od bielizny pokazał cywilowi wzrokiem naszą kanapkę, która była skrzyżowaniem skrzyni na bieliznę i rozkładanego tapczanika używanego czasem przez rzadkich gości.

A ja spostrzegłem, że drzę z porannego zimna i nie mogę powstrzymać tego drżenia. Chrząknąłem ciężko raz, drugi, żeby przetkać gardło.

Blondyn, czyli podkomisarz Korsak, wolno ruszył do kanapki, omijając rozrzucone na podłodze ubranie. Zatrzymał się tyłem do mnie i patrzył chwilę na obłoczek skłębionego koca. Potem wolno schylił się i raptem zerwał ten nasz stary koc, który zjeździł z nami połowę świata. Zobaczyliśmy wszyscy trzej leżącą na wznak młodą kobietę. Z otwartymi ustami patrzyła w sufit. Białe piersi zbiegające w stronę pach, piersi tak okrągłe, jakby wyrysowane cyrklem, kępka zwichrowanych ciemnych włosów w spojeniu nóg.

– Niech pan podejdzie.

Zbliżyłem się ostrożnie. Z ogromnym wysiłkiem przełknąłem ślinę jak klej stolarski.

– Pan ją zna, prawda?

– Nie, chyba nie.

Widziałem na niej delikatny ślad opalenizny, który powodował, że ciało to podobne było do starego wosku.

– Więc kto to jest?

– Nie wiem. Zdaje się, być może poznałem ją wczoraj.

Leżała przed nami wyzbyta erotyzmu, budząca jakąś grozę, jakąś duszność, jakąś nieznaną przedtem panikę.

– Strasznie się źle czuję. Czy mogę na moment wyjść na balkon?

Korsak chwilę pomyślał, potem myknął i odpowiedział niechętnie:

– Może pan wyjść, ale proszę nie zamykać drzwi.

Trochę się zataczając, wyszedłem na powietrze. Boże, co się stało. Dlaczego właśnie mnie musiało się coś takiego przytrafić. To przecież niemożliwe. Bezmyślnie zerknąłem w stronę pokoju. Policjant przykrywał kocem tę nieznaną dziewczynę, a Korsak przyglądał mi się bacznie, oddzielony ode mnie tylko progiem balkonu.

I zobaczyłem wtedy przed sobą tunel ucichłej ulicy, półnagie nieruchome drzewa i na samym końcu ciężki masyw Pałacu Kultury. Ale ten Pałac dziwnie się przybliżył. Stał na wyciągnięcie ręki, strasznie wyrazisty, namacalny, jakby wycięty z grubej brązowej tektury, z czarnymi prostokątami okien pozbawionych nie tylko światła, ale i szyb. Tkwił jak martwa dekoracja teatralna, raczej operowa, i był do tego stopnia realny, niestonowany zwykłą mgłą, codziennym smogiem, rozmyciem oddalenia, że pomyślałem: jakby wypompowano z miasta powietrze. Patrzyłem tak i nie mogłem oderwać wzroku od tego nieboszczyka architektonicznego i bałem się przenieść wzrok gdzie indziej.

Wtedy wszedł na balkon podkomisarz albo jakoś podobnie utytułowany cywilny policjant, pochylił się nad zardzewiałą balustradą i dał komuś znak ręką. Potem wyprostował się, patrzył na ten Pałac i na wypłowiałe granatowe niebo za nim, niebo podmyte od horyzontu anemiczną czerwienią.

– Dostanie pan zapalenia płuc – powiedział.

– Nie. Chyba nie. Jest mi ciepło.

– Proszę wracać.

Weszliśmy do pokoju. Usłyszałem jakiś rumor na schodach, energiczne głosy, ktoś mocował się z drzwiami. Wreszcie pojawiło się kilku mężczyzn, a jeden z nich, w szarym fartuchu, dźwigał ogromną walizę. Pewnie ekipa dochodzeniowa. Znany rytuał. Ceremoniał naszej artystycznej powszedniości.

Oczywiście jakiś starszy pan, pewnie doktor, zrzucił koc i pochylił się nad ciałem młodej kobiety. Co się dzieje, pomyślałem. I co będzie dalej. Czym się to skończy. I co ja tu robię w tym wnętrzu, które znam jak ze snu. Siebie znam też jakby ze snu.

– Więc nie może pan podać personaliów denatki?

Tak, i terminologia akurata. On do tego wszystkiego jąka się odrobinę. Tyle, ile trzeba dla przydania wytworności. Bo teraz moda na jąkanie się, które oznacza namysł i pewną ambiwalencję sądów, nonszalancję i zarazem drobiazgowość analizy.

– Nie wiem – odrzekłem, szcękając zębami. – Ale wydaje mi się, że ona ma, że miała na imię Wera.

– A gdzie jej ubranie?

– Ubranie? Gdzieś powinno być. Może w łazience.

I zrobiło mi się wstyd. Machinalnie sprawdziłem, czy mam spodnie na sobie. Żeby to się już skończyło. Żeby się w ogóle nie zaczęło.

Korsak poszedł do łazienki, za chwilę wrócił z pustymi rękami.

– Zapal światło – powiedział rzeczowym tonem ten od wielkiej walizy. Któryś z policjantów nacisnął taster. Zmrużyłem oczy przed potopem porażającego światła.

– No cóż – odezwał się podkomisarz, myknąwszy uprzednio.

Ale wtedy technik dochodzeniowy podniósł w naszą stronę migocący elektrycznym światłem skalpel.

– Są ślady spermy na prześcieradle.

– Matko Boska. To niemożliwe. Ja jestem schludny – jęknąłem cicho.

Wszyscy popatrzyli na mnie. Gdzieś w tych zagonach ulic za oknem odezwał się alarm samochodowy. Gwizdał historycznie jak sygnał karetki pogotowia.

– Przepraszam – rzekł technik. – To zaschnięty skrzep krochmalu.

Dzięki Bogu i za to, pomyślałem. Dlaczego ja nie umarłem wcześniej. Tyle razy miałem okazję. Wszystko się nie układa. Nie układa od lat.

– No cóż – powiedział Korsak. – A ja tak strasznie nie lubię rozpoczynania myśli od tego „no cóż”. – Pojedziemy do komendy.

Ubrałem się jako tako, wyjąłem z szafki dokumenty, z własnej inicjatywy je wyjąłem i w towarzystwie Korsaka oraz tych dwóch pierwszych policjantów wyszedłem na schody. Drzwi sąsiadów były lekko uchylone, spostrzegłem wiele oczu wlepionych we mnie. Wszystko jedno, pomyślałem. Teraz to już wszystko jedno. Tak się musiało skończyć. Ale co się miało tak skończyć. Moje życie. Mój los. Mój niefart.

Na dole, przed domem, między karetkami czekał samochód osobowy. Na dachu obracały się kolorowe światła. Zauważyłem, że lewe było czerwone, natomiast prawe niebieskie. Kiedyś eskortowano pieszko. Czasem w pociągu.

Obaj policjanci siedli z przodu wozu, a ja z Korsakiem z tyłu. Samochód wytoczył się na mroczniejącą ulicę między szamoczące się w korkach auta. Śród pobekiwania klaksonów sunęliśmy wolno w stronę placu Trzech Krzyży. Słaby ruch w słabym miasteczku osłabłego kontynentu, pomyślałem. Gruzowisko zapomnianych wojen, umarłych reżymów, niedokończonych cywilizacji. Jakaś gwiazda, z pewnością fałszywa gwiazda zaranna wytrzeszczała się nad doliną ulicy.

– Ja chyba umrę – szepnąłem.

– Co pan powiada? – ocknął się blondyn. W łyśnięciach światła latarni ulicznej spostrzegłem zadbane czubek jego głowy. Troszczył się pewnie o te wstęgi, piskące włosy, które cofały się z uporem ku potylicy. To pedant. Obawa o włosy uczy męzczyznę pedanterii.

– Źle się czuję. Ciągłe jeszcze ciemno. Która to godzina?

– Dziewiętnasta – powiedział, spoglądając na pusty przegub ręki.

– Dziewiętnasta? – powtórzyłem. – A mnie się wydawało, że to świt. Zgubiłem gdzieś całą dobę.

Co się stało. Co się stało ze mną. Skądś to wszystko znam. Ktoś mi o tym opowiadał. Albo czytałem w gazecie. On tak się troszczy o swoje włosy, a ja mam ich za dużo. Zostawiłbym mu w spadku. Mnie się już włosy znudziły.

– Niech pan spojrzy. Gorbaczow idzie – powiedziałem sennie.

– Gdzie?

– Tam, koło tego butiku. Ale już wszedł do bramy.

Korsak przyglądał mi się z uwagą.

– Lekarz był podobny do Juliusza Cezara.

– Który lekarz?

– Ten, co przyjechał z waszą ekipą. Pan pewnie obok prawa studiował psychologię?

– Nie, astronomię. Ale nie skończyłem.

Gdyby były takie ogromne jak domy zamrażarki. Zamrozić się i przeczekać. Aż zapomną, aż minie terażniejszość. W radiu policyjnym jakieś byle jakie rozmowy. Ktoś się śmieje. Ktoś życzy spokojnej nocy. A może ona wstanie nagle, wstanie i pójdzie naga do łazienki.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział blondyn.

Wysiedliśmy przed komisariatem. Znałem ten budynek, zwykłą kamienicę czynszową. Kiedyś bywałem tu doprowadzany przez patrole. Kiedyś interesowałem się polityką i kochałem nieszczęśliwą ojczyznę.

Koło drewnianych, topornych drzwi, wiele razy nie wiadomo czemu wyłamywanych, porysowanych łomami i oblewanych farbą, koło tych drzwi leżała na chodniku Cyganka ze śpiącym dzieckiem w objęciach. Na nasz widok jąła zawodzić proszalnie w nieznanym języku.

A w środku był remont. Stały tu obrosłe wapnem drabiny, na podłodze wały się gazety z dawnych epok, kręcili się malarze w papierowych furazerkach na głowie.

– Prosto, prosto – rzekł Korsak i skręcił w lewo.

Podeszliśmy do drzwi obitych zardzewiałą blachą. Otworzył je kluczem, zapalił światło i pokazał mi jakiś stół kuchenny i dwa taborety. Usiadłem na jednym z nich.

– Proszę poczekać.

Wyszedł, nie zamykając drzwi na klucz. Mógłbym skorzystać z okazji. Ale lepiej umrzeć. Dobrze byłoby zamknąć oczy i znaleźć się po drugiej stronie. Ładnie to wykombinowano, znaleźć się po drugiej stronie. Magiczne prześwity, tajemnicze zakamarki, niegłębokie przepaście. Uboga magia.

Pusty pokój. Ciemnoszara lamperia obiega nagie ściany. Ktoś coś wydrapywał na tej szarości. Krzyk protestu, może imię chwilowej ukochanej albo złotą myśl, od której nie sposób się uwolnić. On jest astronomem. Ma w głowie cały trójwymiarowy model wszechświata. Stale jest świadom lotu niebiesko-białej lekko zgniecionej kuli w pozorowanej pustce. Dla nas jest noc, a dla niego półobrót na własnej osi ambitnej i zarozumiałej planetki.

Wyciągnąłem zły los z czapki przeznaczenia. Cyka ból w głębi czoła. Zbiera mi się na wymioty.

Wrócił Korsak. Po drodze uczesał jeszcze raz swoją wiosenną czuprynkę. Ustawił pośrodku stołu magnetofon w skórzanym futerale i wykonał jakiś dziwny, ale energiczny ruch łokciami, przyglądał dłońmi włosy na skroniach.

– Odpowie pan na kilka pytań.

– Odpowiem. Spróbuję.

Zaczął trzaskać klawiszami aparatu. Potem myknął po swojemu i zapytał:

– No więc jak to się zaczęło?

Wtedy szczęknęły drzwi i ktoś wsadził głowę podobną do głowy prezydenta Ameryki.

– Wszystko zebraliśmy, co się dało. Trochę włosów, różnych. Jakieś śmiecie, dużo kurzu i guzik od niemieckiego munduru z czasów wojny. Daję do laboratorium.

Korsak skinął głową, a kiedy zamknęły się drzwi, zachęcił z czymś w rodzaju współczucia:

– No, słucham pana.

Miał twarz właściwie o ostrych rysach, ale jakby w ostatnim momencie zmięczonych przez opatrność. Na pewno umiał uśmiechać się ciepło i przyjaźnie, kiedy była po temu okazja.

– Nie wiem. Nie wiem, czy tak było. Wszystko mi się płacze. Coś z dalekiej przeszłości, coś z dawnych lat, z wczorajszego dnia i z ostatniej nocy. Nie wiem. Pamiętam tylko, że mi się strasznie nudziło. Ale mnie się zawsze nudziło. Chciałem coś załatwić, czekałem na jakieś telefony. Ale było to tylko oszukiwanie samego siebie. Wyszedłem na balkon, przyglądałem się wróblom, biły się, kopulowały bezwstydnie, czekały, że rzucę im jakieś okruchy. Rozsuwały się ciężkie chmury i wyszedł z mgły Pałac Kultury, na który często patrzę i nic w nim nie widzę. Później leciał samolot, pewnie z Moskwy do Paryża, płynął tak wysoko, że zobaczyć można było tylko biały, mocno rozrzedzony kilwater na czystym niebie. I wtedy spostrzegłem, że ten łuk pozostawianych spalin jest bardzo głęboki, prawie półkulisty i uświadomiłem sobie, jak niewielka jest Ziemia i jak niebezpiecznie bliski jest horyzont, za którym Ziemia spada stromo ku obcym krajom, ku obcym morzom. Zrobiło mi się jeszcze bardziej nieswojo. Poczułem się sam i właściwie nikomu niepotrzebny, nawet rubrykom statystycznym, a może nawet samemu Panu Bogu. A przecież gdzieś w podświadomości tkwiła pamięć o tych zaprosinach na imieniny ludzi miłych, ale także nikomu niepotrzebnych. Ja już nie lubię tych zdawkowych spędów dosyć nudnych dla mnie osobników, co z kieliszkami w rękę stoją po kątach pokoju i rozmawiają o wszystkim, to znaczy o niczym. Ja się boję takiego zamknięcia z bliźnimi, których unikam na ulicy. Uciekam przed nimi dokoła zastawionego stołu, umykam do kuchni, kryję się w łazience. Kiedyś lubiłem spotkania z nieznanymi albo nie dość znanymi osobami. Odczuwałem jakąś wewnętrzną drżączkę jak myśliwy w kniei. Kogoś raptem urzekłem, kogoś uwiodłem, kogoś zepatowałem rozkosznie. Ale teraz żyłka myśliwska osłabła. Odechciało mi się polować na niezamożnych, wyliniałych, szukających ratunku bliźnich. Chcą ode mnie nektaru pocieszenia, ambrozji otuchy albo zwykłego, choćby wyświechtanego słowa pociechy. Lecz ja przecież nie mam już nic do rozdania. Ja sam potrzebuję miłych kłamstewek i odrobinę zdawkowego podziwu. Pogardzam taką jałmużną, ale jest mi potrzebna jak lekki niuch taniego narkotyku. Zatem z góry nienawidziłem przez cały dzień tego przyjęcia i przysięgałem sobie, że prędzej zdechnę, nim wyjdę z domu. Więc obszedłem całe mieszkanie, strąciłem pył zwinięty w ruloniki pod martwymi kaloryferami, wyjąłem jedną czy dwie książki, próbując czytać, zapaliłem i zgasilem telewizor, a potem nagle, żeby się nie rozmyślić, chwyciłem marynarkę i już byłem na schodach.

– Przepraszam – odezwał się blondyn. – Muszę coś sprawdzić. – Zaczął trzaskać klawiszami, odezwała się jakaś muzyka a potem mój chrypiący głos. – W porządku. Słucham pana.

– Zacząłem od obszernej preambuły, bo chciałem, żeby pan zrozumiał moją sytuację psychologiczną, a wtedy, być może, jaśniejszy wyda się bieg zdarzeń.

Umilkłem na chwilę, a on skorzystał z okazji i z tym dziwnym, obszernym, automatycznym ruchem łokci uniośł dłonie i przyglądał puszek włosów na skroniach. Ktoś okropnie krzyczał za ścianą. Korsak uśmiechnął się zachęcająco.

– Nie wiem, wszystko mi się płacze. Ale chcę opowiedzieć najprawdziwiej. Najszczerzej z mego punktu widzenia. Ja wiem, że nie ma prawdy obiektywnej, więc niech będzie moja własna, osobista. Zatem znalazłem się na tych imieninach i wszystko przebiegało jak zwykle przy takich okazjach. Ale tym razem była nieznanoma i trochę dziwna dziewczyna. Co prawda dziwność jej także wydawała mi się skądś

znajoma. Pan też spotykał owe młode kobiety wyzywająco ubrane, ze zrobionym ekscentrycznie makijażem, co po trzech godzinach płaczą i opowiadają o jakimś Zdzichu albo Zbychu, co wyjechał znienacka do Ameryki i słuch po nim zaginął – przerwałem rażony jakimś kłującym bólem, który przeleciał mi przez głowę od skroni do skroni. – Właściwie odechciało mi się mówić. Może lepiej niech pan pyta.

Zerwał się z taboretu, przebiegł na ukos po pokoju, a potem zaśmiał się trochę do siebie i trochę do mnie.

– Ja tę astronomię dawno zapomniałem. Moja żona jest psychologiem, ale także mamy problemy. Wszyscy mają problemy. Prezydenci i kloszardzi. Fabrykanci i bezrobotni. Niedorozwinięci i artyści.

– Tak, ja także myślałem, że nie mam problemów, że zostały daleko za mną. Ale ta dziewczyna, ta młoda kobieta, na pozór obca, impertynencka i odpychająca, ale ta kobieta wydała mi się skądś znajoma, jakby z młodości, z innej epoki, z innego obyczaju i jakby przebrana specjalnie dla mnie na tę okazję. Od pewnego czasu mało piję. Wypiłem już w życiu, co miałem wypić. Więc i tego wieczoru wymówiłem się raz i drugi od kieliszka, aż raptem, nie wiadomo kiedy, golnąłem całą szklaneczkę pod jej szyderczym wzrokiem. Ja wiem. Ja wszystko wiem. Znam na wylot wszystkie te nasze zachowania, które wydają nam się oryginalne i własne, spowodowane niepowtarzalnym incydentem, a są tylko odruchem właściwym dla każdego egzemplarza naszego gatunku. Więc ja wszystko wiem i mogę nawet przewidzieć obskurny automatyzm następnych gestów i poczynań, więc ja wszystko wiedząc kropnąłem jeszcze jedną szklaneczkę, żeby się rozluźnić i nie odczuwać banalności sytuacji podczas banalnych uroczystości imieninowych. Potem, męcząc się tym beznadziejnym i prostackim konwenansem, wdałem się z nią w rozmowę, właściwie w mały pojedynek albo utarczkę słowną. Jak wszyscy samcy mego gatunku stałem się szyderczy i odrobinę agresywny, trochę nonszalancki, a nawet miejscami dowcipny. Sam sobie przyglądałem się w duchu ze zgrozą, ale brnąłem dalej, gotów zresztą w każdej chwili do rejterady. Jeszcze kwadransik, mówiłem sam do siebie, i w nogi. Co mi szkodzi piętnaście minut, i tak przed jedenastą będę w domu. Jak to dobrze znaleźć się wcześniej we własnym łóżku.

– Przepraszam – Korsak szczęknął klawiaturą. – Wie pan, pół roku temu mieliśmy taki wypadek: pewien autor powiesił się, stwierdziwszy, że popełnił mimowolny plagiat. Zresztą z dziewiętnastowiecznego klasyka.

– A co to ma do rzeczy?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI